

Krzysztof Dorosz: Poszukując Boga w ciemności i niewiedzy

Ateizm naszych czasów jakżeż często jest tylko zaprzeczeniem bezsensu tej czy innej chrześcijańskiej idolatrii – pisze Krzysztof Dorosz, w trzeciej części korespondencji z Bartoszem Jastrzębskim, podkreślając znaczenie teologii apofatycznej w historii chrześcijaństwa

*Bo myśli moje nie są myślami waszymi
ani wasze drogi moimi drogami - wyrocznia Pana.
Bo jak niebiosa górują nad ziemią, tak drogi moje -
nad waszymi drogami i myśli moje -
nad myślami waszymi.*

Izajasz 55, 8-9

Si comprehendis, non est Deus.

św. Augustyn

*Bóg jest jeden, bez początku, niepojęty,
posiadający pełnię istnienia całkowicie poza pojęciami:
kiedy i jak.*

*Bóg jest nieosiągalny dla nikogo:
nie da się poznać żadnemu stworzeniu
i wymyka się wszelkim ludzkim wyobrażeniom.*

Św. Maksym Wyznawca (580-662)

Drogi Bartku,

Dawno, dawno temu, kiedy pod koniec lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku prowadziłem magazyn kulturalny w II programie Polskiego Radia, nieraz dane mi było sięgać do kultury wysokiej. Toteż kiedy dowiedziałem się, że na Uniwersytecie Warszawskim odbywa się seminarium na temat Mikołaja z Kuzy (*na ilustracji – red.*) prowadzone przez Leszka Kołakowskiego, zadzwoniłem do niego, by zaprosić go do mojego programu. Chciałem, by opowiedział nam o słynnym mistyku i teologu z Kuzy, którego droga do Boga prowadziła poprzez uczoną niewiedzę. Ale Kołakowski odmówił udziału w programie.

– Nie znam się na Mikołaju z Kuzy – powiedział.

– Jak to – spytałem – przecież prowadzi pan poświęcone mu seminarium.

– Tak – odparł – ale ja się dopiero go uczę i naprawdę nie jestem w stanie wiele sensownego na jego temat powiedzieć.

Przyjąłem z pokorą te wyjaśnienia i pomyślałem sobie: oto uderzający przykład uczonej niewiedzy, która znamienitemu polskiemu umysłowi daje odwagę powiedzenia „nie wiem”. Czyżby szedł w ślady kardynała z Kuzy, który przedzierał się do Boga po bezdrożach uczonej niewiedzy, zwanej po łacinie *docta ignorantia*? Nie, niezupełnie, ponieważ polski filozof chciał podkreślić tylko niedoskonałość własnego intelektu, Kuzańczyk natomiast kierował się przede wszystkim przekonaniem, że samego Boga ludzkim umysłem ogarnąć niepodobna.

Ten głęboki metafizyk i wielki reformator Kościoła — jak nazywa go Christopher Dawson — nie był bynajmniej pierwszym myślicielem w historii chrześcijaństwa, który głęboko odczuwał niepoznawalność Stwórcy. Podobne intuicje przenikały dusze wielu Ojców Kościoła, dla których wzorem był Mojżesz wędrujący w górę ku „światlistej ciemności” Boga. Temu obrazowi wędrówki w nieznaną hołdowali Klemens z Aleksandrii, Orygenes, Ojcowie Kapadoccy, Dionizy Areopagita, Grzegorz z Nyssy. „Pojęcia odnoszące się do Boga podlegają zakazowi czynienia Jego obrazu — pisał Grzegorz — nie tylko nie objawiają nam Boga, ale są wręcz idolami”. Blisko cztery stulecia później wtórował mu św. Jan z Damaszku: „Bóg nie należy do klasy istniejących rzeczy — twierdził — nie znaczy to, że nie istnieje, lecz że jest ponad wszystkimi istniejącymi rzeczami, ba! nawet ponad samym istnieniem”.

*Teologia pozytywna, jeśli nie
równoważy jej teologia
negatywna, prowadzi nieraz
do idolatrii, ponieważ ludzie
często nie potrafią odróżnić
symbolu od rzeczywistości
przezeń symbolizowanej*

Słowem, Bóg nie poddaje się „oswojeniu” — ani rozumu, ani jakiegokolwiek innej władzy człowieka. „Bóg jest jak tchnienie — pisał św. Maksym Wyznawca — a tchnienie niczym

wiatr; nic nie zdoła go objąć ani uwięzić”. Przekonanie to ożywiało nie tylko mistyków i oddanych modlitwie teologów, lecz wszystkich głęboko wierzących chrześcijan. „Nie próbuj też pojąć czegoś z Boga — powiada w jednym z kazań Mistrz Eckhart — On bowiem wznosi się ponad wszelkie rozumienie. Pewien mistrz mówi: gdybym miał Boga,

którego bym mógł zrozumieć, nigdy bym Go nie uznał za Boga”.[1]
Również Tomasz z Akwinu przekonany był, że Bóg wznosi się ponad wszelkie rozumienie. Czerpał inspirację nie tylko ze stąpającego mocno po ziemi Arystotelesa, lecz także z oddanego mistycznym wzlotom Pseudo-Dionizego. Tym samym światło teologii pozytywnej dopełniała ciemność teologii negatywnej. Ta trudna sztuka budowania jedności przeciwieństw, często w chrześcijaństwie zaniedbywana, nieraz dopomina się o swoje prawa.

Reformacja na przykład, kładąc nacisk na teologię Krzyża, była swego rodzaju negatywnym dopełnieniem pozytywnej teologii chwały. Była próbą obrony niepoznawalności Boga przed nadmiernym bogactwem Jego obrazów, przed prostodusznym literalizmem masowej kultury późnośredniowiecznego katolicyzmu. Protestantyzm, idąc śladem Lutera, odwoływał się do teologii Krzyża, prawosławie zaś, daleko wcześniej, do teologii negatywnej, zwanej apofatyczną, katolicyzm do Dionizego Areopagity, Grzegorza z Nyssy, czasem Eckharta, wreszcie do św. Jana od Krzyża. Owa przeniknięta poczuciem tajemnicy teologia poszukuje Boga w ciemności i niewiedzy, wzywając swoich adeptów do porzucenia wszelkich stworzonych na ziemi Jego wizerunków. Teologia pozytywna natomiast, jeśli nie równoważy jej teologia negatywna, nieraz prowadzi do idolatrii, ponieważ ludzie często nie potrafią odróżnić symbolu od rzeczywistości przezeń symbolizowanej i obraz prawdy biorą za samą prawdę.[2]

Święci i mistycy zdawali sobie sprawę, że zbliżając się do Boga, człowiek musi przejść przez ciemność i pustkę. Ich wielkość leżała w tym, że gotowi byli poddać się niszczycielskiemu działaniu tej ciemności, tym samym narażając swoje życie na negację Krzyża. I każdy, kto szedł w ich ślady, czuł, że musi przejść przez własną

*Idolatria to ubrane w pozory
prawdy rojenia, czyli upadek
wiary prowadzący człowieka w
objęcia sił demonicznych*

niewiedzę i
ciemność. Musi
nauczyć się żyć z
zawodną, niepewną
prawdą, musi umieć
znosić trud
współżycia z
Tajemnicą. Bo celem

życia w ciemności Krzyża jest nie iluminacja czy pewność, lecz świętość. Świętość zaś to nie moralny tytanizm, lecz dyspozycyjność wobec Rzeczywistości Ostatecznej polegająca na takim oczyszczeniu własnej duszy, by stała się otwarta na obecność Boga.

Bóg nie jest ładem serca ni rozumu, lecz nieskończoną Tajemnicą, której nasz świat nie ujawnia jako prostego faktu. Jest większy niż nasza wiedza i wiara. „Wiara jest stałym procesem odrzucania naszych obrazów i pojęć Boga – pisze współczesna angielska karmelitanka Ruth Burrows – po to by Bóg mógł być tym, kim jest w swojej własnej rzeczywistości”. Dlatego nieraz możemy Go dostrzec dopiero wówczas, gdy czujemy się zagubieni, a naszej świadomości nie przenika żadne duchowe promieniowanie. Taka jest teologia negatywna protestantyzmu. Kontemplacja Bożej chwały i majestatu z dala od ciemności Krzyża prowadzi zdaniem Lutera w ślełą uliczkę. Bóg bowiem nieraz przychodzi do nas wówczas, gdy zawodzi rozum, gdy uduchowanie nic nie daje, a w rytm modlitwy wdziera się dysonans Krzyża.

Zastanawiasz się pewnie, Bartku, po co to wszystko piszę. Po co ten krótki szkic chrześcijańskiej teologii negatywnej? Otóż z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, by odsłonić Ci moją własną drogę, która

doprowadziła mnie do protestantyzmu, po drugie zaś, by pokazać, że jego duchowym rdzeniem, często zapomnianym, lekceważonym bądź w ogóle niedostrzeganym, jest właśnie *via negativa*, występująca na ogół nie w nawiązaniu do jej dawnych mistrzów, lecz pod postacią teologii Krzyża. Tak, zapomnianym i niedostrzeganym, bo protestantyzm nieraz odchodził od teologii Krzyża i lekceważył niepoznawalność Boga. Zdomawiał się w swoich Kościołach i w świecie, rojąc sobie nawet czasami, że chwyta sens Bożych poczynań. Lecz rojenia pozostawały rojeniami, a majestat Bożej tajemnicy znikął z pola widzenia. Na szczęście nie zawsze.

Duchowym rdzeniem protestantyzmu jest via negativa występująca na ogół pod postacią teologii Krzyża

W XX stuleciu śladami teologii negatywnej szedł wybitny teolog protestancki Paul Tillich. Z lektury Dionizego

Areopagity wyniósł intuicję „Boga ponad Bogiem” i z jej pomocą usiłował przebić się poza wiarę, która zatrzymuje się na istnieniu Boga. „Bóg nie istnieje – pisał Tillich – jest bytem samym w sobie, poza esencją i egzystencją. Twierdzić, że Bóg istnieje to tyle, co przeczyć Jego rzeczywistości”. Tym nieco prowokacyjnym stwierdzeniem Tillich bronił suwerenności Boga przed zakusami ludzkiego rozumu. Z negatywnej teologii wysnuwał wniosek, że istnienie Boga to pojęcie na poły bluźniercze, na poły mitologiczne; twierdzić zaś, że Bóg istnieje, to tyle, co torować drogę ateizmowi. Szokujące, prawda? Ale ateizm naszych czasów jakżeż często jest tylko zaprzeczeniem bezsensu tej czy innej chrześcijańskiej idolatrii.[3] Zaprzeczeniem dyktowanym bądź przez rozum, bądź w imię „Boga ponad Bogiem”.

I ja jako jeszcze bardzo młody człowiek przeczyłem idolatrii, nie znając wówczas ani tego słowa, ani pojęcia. Lecz przeczyć idolatrii z pozycji rozumu to niewielka sztuka. Wystarczy kilka prostych operacji logicznych podpartych czasem twierdzeniami nauk ścisłych. Natomiast odrzucenie jej z religijnego punktu widzenia wymaga nieporównanie więcej, toteż przyszło do mnie dużo później. Dopiero z czasem zrozumiałem, że idolatria to religijna adoracja rzeczywistości widzialnej i dotykanej, to ubrane w pozory prawdy rojenia, czyli upadek wiary prowadzący człowieka w objęcia sił demonicznych. Wychowałem się w rodzinie ateistycznej, czy przynajmniej agnostycznej, i bez większego trudu przychodziło mi przeczyć wątpliwym rozumowo czy naukowo artykułom chrześcijańskiej wiary. Rychło jednak zorientowałem się, że ateizm moich rodziców (którzy zresztą zakończyli żywot jako chrześcijanie) jest równie wątpliwy i bezrozumny jak niektóre obiegowe nauki chrześcijańskie.

I tak powoli, przez długie lata, usiłując wznieść się nad obydwie formy bezrozumu, odrzucając prostoduszne nauki tak ateizmu, jak i fideizmu, szukałem prawdy w uczonej niewiedzy, na długo nim usłyszałem o Mikołaju z Kuzy. Bo tylko uczona niewiedza, świetlista ciemność i tajemnica „Boga ponad Bogiem” ujawniały przede mną sens wiary i prowadziły ku dalekiej prawdzie. Pojąłem, że wędrówka ku Temu, który jest, nigdy się nie kończy, że człowiek wierzący jest nieustannie w drodze, ponieważ Bóg jest zawsze większy niż nasza wiara. Pojąłem, że w jej centrum jest nie prawo moralne, nie doświadczenie mistyczne, nie Kościół, nie doktryna, nie liturgia, nie teologia, lecz Bóg.

Reformacja, kładąc nacisk na teologię Krzyża, była swego rodzaju negatywnym dopełnieniem pozytywnej teologii chwały. Była próbą obrony niepoznawalności Boga przed nadmiernym bogactwem Jego obrazów

Te poszukiwania doprowadziły mnie wreszcie do protestantyzmu, do jego negatywnej teologii Krzyża, do wiary, którą Karl Barth kiedyś potrafił zdefiniować jako pustkę, ciszę, niewiedzę, niemą adorację. Ponieważ

szukałem inspiracji tam, gdzie Bóg wznosi się ponad Boga, zachowałem krytyczny stosunek wobec wielu protestanckich nauk, pozostając wierny najgłębszej istocie tej wiary. Tak doszedłem w końcu do namiętnej, choć opartej na wieloletnich refleksjach, afirmacji suwerennego Boga, którego nawet Logos nie objawia w całej pełni. *Deus revelatus*, czyli Bóg objawiony – twierdził Karl Barth, którego Pius XII nazwał największym teologiem od czasu Tomasza z Akwinu – to zarazem *Deus absconditus*, czyli Bóg ukryty, a wiele wieków przed nim Dionizy Areopagita pisał, że w człowieczeństwie Chrystusa Bóg objawił się, nie wychodząc z ukrycia. Nie dziw się zatem Bartku, że dewiza mojego Kościoła – *Soli Deo gloria*, czyli *Tylko Bogu chwała* – tak bardzo współbrzmi z tym, co od lat noszę w głębi swojej duszy.

Zatrzymajmy się teraz na chwilę przy burzy wywołanej wystąpieniem Marcina Lutra. „Zapewne nie dojdziemy do zgody co do istoty reformacji” – powiadasz. Nie, do pełnej zgody nie dojdziemy. Ale chyba do większej niż nam się tymczasem wydaje. Bo sama Reformacja to w dużej mierze sprawa faktów historycznych, do których można dotrzeć.

Pośród nich nie można pomijać ani duchowej słabości ówczesnego Kościoła katolickiego, który wydawał się doczesną władzę stawiać ponad wiarę, ani wielu okoliczności politycznych, na przykład prerogatyw angielskiego monarchy, który na długo przed Reformacją mianował biskupów za nominalną tylko aprobatą Rzymu. Wymagałoby to jednak w tej chwili mnogich i pewnie drobiazgowych wywodów ze względu na liczne salwy oddane przez Ciebie w ostatnim liście w kierunku protestantyzmu. Nie chciałbym zanudzić czytelników. Na razie więc tylko jeden przykład.

*Celem życia w ciemności
Krzyża jest nie iluminacja czy
pewność, lecz świętość.
Świętość zaś to nie moralny
tytanizm, lecz dyspozycyjność
wobec Rzeczywistości
Ostatecznej*

Piszesz, że Kościół
jest w
permanentnym
kryzysie. To prawda.
Niech zaświadczą o
tym słowa nie
buntownika Lutera,
ale posłusznego
angielskiego
benedyktyna

nazwiskiem Matthew Paris, zapisane w XIII wieku. „W ciągu całego tego okresu niewielki płomień wiary począł zamierać. Widać było już tylko popiół, przez który z rzadka przedzierała się iskra. Świętokupstwo praktykowano bez cienia wstydu, a lichwiarze całkiem otwarcie i przy pomocy najróżniejszych sztuczek wyciągali pieniądze od ludzi i od maluczkich; zanikło miłosierdzie ... religię deptano i pozbawiano wartości; córa Syjonu stała się wyzywającą ladacznicą, na jej twarzy nie było widać najmniejszego rumieńca wstydu ...” Taki był widać wiek trzynasty. A piętnasty?

Podsycany pogańskim tytanizmem renesansu, który wdzierał się do wszystkich sfer życia, również i do Kościoła, rozkwitł ten wiek nieokiełznaną światowością i przepychem, który nieraz był hołdem oddawanym własnemu "ja". Reformacja, czasem nieporadnie i niezbyt skutecznie, usiłowała się tej światowości i temu przepychowi przeciwstawić. Później protestantyzm też popadł w permanentny kryzys, choć innego rodzaju. Ale wyjaśnianie permanentnym kryzysem duchowego upadku religii w konkretnych okolicznościach zrównuje ze sobą wszystkie jego stadia, zamazując widoczne grzechy. Przecież nawet w życiu dotkniętym permanentnym kryzysem są okresy gorsze i lepsze, ciemniejsze i jaśniejsze. Wszak wszechobecność grzechu – by uciec się do analogii – nie zrównuje ze sobą wszystkich grzeszników. Czyż z faktu, że wszyscy jesteśmy grzesznikami, wynika, że Ty czy ja dźwigamy taki sam ciężar zła jak katolik Hitler czy prawosławny Stalin?

*Bóg nie jest ładem serca ni
rozumu, lecz nieskończoną
Tajemnicą, której nasz świat
nie ujawnia jako prostego
faktu. Jest większy niż nasza
wiedza i wiara*

Nie, wiek XV to okres
szczególnego
kryzysu, jakiemu
uległo
chrześcijaństwo,
niekiedy określanego
mianem „dekadencji
ortodoksji”. Świadczy
o tym choćby

poparcie, które zyskał Luter. Można sądzić, że gdyby nie ogromna fala uzasadnionej niechęci do ówczesnego Kościoła, Luter, mimo swoich 95 tez, pozostałby nikomu nieznanym, prowincjonalnym zakonnikiem. Gdyby nie jego wystąpienie – powiada Christopher Dawson – do Reformacji i tak by doszło. Bo w mniemaniu Dawsona ówczesna Europa już nie tylko wrzała, lecz gotowa była do eksplozji, Luter zaś do tej

łatwopalnej materii po prostu przyłożył zapalną. Nie tak było za czasów św. Franciszka i św. Dominika, których wymieniasz jako autentycznych odnowicieli Kościoła.

Na koniec wróćmy do XIII stulecia i zatrzymajmy się nie na kryzysie, lecz na myśli jednego z najświetniejszych umysłów chrześcijaństwa – św. Bonawentury. Stworzył on pojęcie-symbol – *fontalis plenitudo* – które miało określać pełnię duchowej płodności i Ojca. Owa pełnia, przejawiona przede wszystkim zrodzeniem Syna, sprawia, że Chrystus jest doskonałym jej wyrazem. Co z tego wynika? „Jak pełnia Odwiecznego Słowa wyraża się w różnaitości stworzeń, tak pełnia Wcielonego Słowa przejawia się w różnych postaciach chrześcijańskiej doskonałości” – pisze współczesny znawca Bonawentury.[4] Ze względu więc na nieskończone bogactwo owej pełni autentyczne chrześcijańskie tradycje wyrażają różne aspekty Chrystusowej tajemnicy. Nie muszą sobie przeczyć, mogą się nawzajem uzupełniać; ich różnorodność bowiem odzwierciedla tę większą Tajemnicę, w której partycypują.[5] Chciałbym ufać, Bartku, że ta myśl będzie w stanie poprowadzić nas dalej. Bo jedność chrześcijaństwa – uważał Christopher Dawson – nie polega na uzgadnianiu doktrynalnych różnic, lecz na pełnieniu woli Boga. Zwłaszcza że wiara nie jest niezmiennym stanem ludzkiej duszy. Zawsze stanowi wydarzenie, każdego ranka nowe.

Bardzo serdecznie Cię pozdrawiam
Krzysztof

Przeczytaj odpowiedź Bartosza Jastrzębskiego napisaną do Krzysztofa
Dorosza

I część korespondencji:

Krzysztof Dorosz: Europejczyk stał się istotą duchowo zamkniętą

Bartosz Jastrzębski: Żądania tolerancji i świeckości mogą stać się tyranią tolerancji i ateizmu

II część korespondencji:

Krzysztof Dorosz: Sobór Trydencki powinien przyjąć dobre owoce Reformacji

Bartosz Jastrzębski: Protestantyzm wyniósł porządek świecki nad boski

[1] Kazanie 83, przekład Wiesław Szymona OP.

[2] Por. Agnieszka Kijewska, Wprowadzenie do: Mikołaj z Kuzy, O oświeconej niewiedzy, przełożył i przypisami opatrzył Ireneusz Kania, Znak, Kraków 1997, s. 25.

[3] Por. Denys Turner „Apophaticism, Idolatry and the Claims of Reason”, w: Silence and the Word; Negative Theology and Incarnation, Cambridge 2002, s. 19.

[4] Zob. Ewert H. Cousins, *Bonaventure and the Coincidence of Opposites*, Franciscan Herald Press, Chicago 1978, s. 276

[5] Por. *ibid.*, s. 276-277